

Waldemar Kuligowski

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

walkul@amu.edu.pl

ORCID: 0000-0002-1910-1034

Czerwony Atlantyk?

A Red Atlantic?

Caroline Dodds Pennock,

On Savage Shores. How Indigenous Americans Discovered Europe,

Wedenfeld-Nicolson, London 2023.

DOI: 10.12775/LL.4.2024.010 | CC BY-ND 4.0

Caroline Dodds Pennock rozpoczyna swoją książkę od relacji z podróży przez Ocean Atlantycki. Inaczej niż w większości tego rodzaju opisów, podróż z lipca 1519 r. odbywała się jednak z zachodu na wschód – z tzw. Ameryki do tzw. Starego Świata. Francisco de Montejo i Alonso Fernández nawigowali „Santa Maria de la Concepción” od wybrzeży meksykańskich do Hiszpanii. Statek był tak obładowany cennym ładunkiem, że jako balast wykorzystano złoto. Niemal niekończący się jest rejestr dóbr, jakie wieźli, mimo swojej drobiazgowości nie obejmował osób ludzkich. Była to grupa mężczyzn i kobiet z ludu Totonaków, zaprezentowana potem na dworze Karola V. „Zostali zabrani ku dziwnym brzegom i zadziwiającym, dzikim obyczajom” (s. 1), zauważa autorka. Po czym deklaruje: „Ta książka należy do ludzi takich jak oni: do najwcześniejszych tubylców, którzy przekroczyli wielką wodę [...], konfrontując się z dziwnymi ludźmi zamieszkującymi nieznaną ziemię” (s. 2).

Caroline Dodds Pennock jest historyczką specjalizującą się w historii Azteków, absolwentką oksfordzkiego Corpus Christi College, wykładowczynią Cam-

bridge University, a obecnie pracownicą naukową University of Sheffield. Jej ostatnia publikacja książkowa nosi wielce zaskakujący tytuł *On Savage Shores. How Indigenous Americans Discovered Europe*.

Wspomniani przez Pennock Totonakowie nie byli pierwszymi tubylczymi Amerykanami, którzy przybyli do Europy. Już w latach 90. XV w. Krzysztof Kolumb uprowadził dziesiątki Taínów z terenów dzisiejszych Bahamów i Kuby. A badaczka gorąco namawia do tego, byśmy spróbowali inaczej wyobrazić sobie XVI w. Od razu zastrzega również, że ta myślowa spekulacja z konieczności jest ograniczona, badanie tubylczych „podróżników” napotyka bowiem dwa zasadnicze problemy: szczupłość źródeł oraz to, że zwykle były one tworzone przez Europejczyków. Pominięcie Totonaków w rejestrze ładunku przywiezionego przez de Monteja i Fernándeza ilustruje natomiast problem kolejny – pomijanie czy wręcz wykluczanie, jak sugeruje badaczka, tubylców z historii wczesnowożytnej Europy.

Jaka jest stawka tego projektu? „Na terenie Hiszpanii i Portugalii, Francji, Włoch, Anglii i Niderlandów Europejczycy spotykali tubylczych Amerykanów w roli dyplomatów, aktorów, tłumaczy, żeglarzy, służących, członków rodzin i niewolników” (s. 17), przekonuje Pennock. Większość z nich była migrantami przymusowymi, porwanymi bądź zmuszonymi do opuszczenia swoich ojczyzn. Poza nimi były jednak także osoby podróżujące swobodnie, w pojedynkę albo w niewielkich grupach. W większości trafiały do Hiszpanii i Portugalii, rzadziej natomiast do Anglii, gdyż Tudorowie w tym okresie zajmowali się bardziej polityką wewnętrzną. Ale nawet w historii Anglii znajdują się tak niezwykle postacie, jak nadmorscy Algonkini Manteo i Wanchese, pracujący jako tłumacze Waltera Raleigha, kolonizującego wyspę Roanoke, i współtwórcy słownika języka ossomocomuck wydanego w Londynie. W tej jakże różnorodnej grupie znajdują się także uprowadzony syn Montezumy, Martin Cortés Nezahualtecoltl, metyski syn Hernána Cortésa i jego tubylczej tłumaczki Malintzin, który kilkakrotnie przekroczył Atlantyk, czy Martin Ecatzin, aztecki szlachcic, w latach 20. XVI w. przez pięć lat mieszkający w Hiszpanii.

W ciągu kilku pierwszych dziesięcioleci następujących po 1492 r. tubylców wywożono do Europy także w celu niewolniczej pracy. Potem byli przedmiotem nielegalnego handlu. Często eksploatowano ich w charakterze uczestników „spektakli władzy”, jak 50 Tupi, którzy w 1530 r. „zamieszkali” w „brazylijskiej wsi” stworzonej dla Henryka II i Katarzyny Medycejskiej w Rouen, miejscowości nad brzegiem Sekwany.

W kolejnych dekadach rdzenni mieszkańcy przekraczali Atlantyk jako wysłannicy i dyplomaci, gdy europejskie wojny rozprzestrzeniły się na Amerykę, a monarchowie Starego Świata szukali sojuszy z tubylczymi plemionami. Inni z kolei pojawiali się jako oskarżyciele, domagając się zadośćuczynienia za nadużycia konkwistadorów. To przypadek Diega de Torresy y Moyachoque’a, który w 1575 r. dotarł z Kolumbii do Madrytu, aby przedstawić królowi dokumentację zbrodni dokonanych przez władze kolonialne. Trzy dekady wcześniej jeden z delegatów majańskich wodzów zaprezentował Filipowi II Burbonowi, królowi

Hiszpanii, naczynie do wytwarzania czekolady, stając się jednym z aktorów transatlantyckiego transferu roślin (np. ziemniak, kakao, dynia, fasola, słonecznik, pomidor, kukurydza) i sposobów ich obróbki.

Inna historia wiąże się z 1566 r., kiedy to z wybrzeża Nunatsiavut (Labrador) uprowadzono kobietę i jej 7-letnią córkę. Trafiły one do Antwerpii, a z reklamowych druków ulotnych wydanych w Norymberdze i Augsburgu wiadomo, że prezentowano je jako „dzikie”, „jedzące ludzkie mięso”, a kobieta przykuwała uwagę swoją wytatuowaną twarzą. Inne „dziwne stworzenie” pojawiło się w Londynie w 1576 r. Był to inuicki mężczyzna z Qikiqtaaluk (Ziemia Baffina), porwany przez Martina Frobishera. Angielskie ubrania uznał za nieprzydatne, dlatego wołał „nosić szmaty”. Pokonany przez choroby, wkrótce zmarł, a jego szczątki pochowano na cmentarzu parafialnym przy średniowiecznym kościółku St Olave's. Już rok później ten sam „odkrywca” przywiózł z zachodu do Londynu kolejne trzy osoby: mężczyznę, zwanego Kalicho, oraz kobietę – Arnaq, i dziecko – Nutaq. Choć przedstawiano ich jako rodzinę, w istocie nią nie byli. Kalicho stał się lokalnym celebrytą po tym, jak wiosłował w kanu po rzece Avon i polował na kaczkę przy użyciu łuku oraz harpuna. Z podziwem obserwowano także Arnaq, karmiącą piersią dziecko umieszczone wewnątrz parki. Podobnie jak ich poprzednika, uśmierciły ich europejskie choroby. Kalicho spoczął na cmentarzu kościoła St Stephen's w Bristolu. Zmarła kilka dni po nim Arnaq pogrzebano obok. Osierocony maluch w wieku kilkunastu miesięcy przekazany został pod opiekę pielęgniarki w Londynie. W jednej ze stolic „cywilizowanego” świata był atrakcyjnym kuriozum dla ciekawskich londyńczyków. Pokonany prawdopodobnie przez odrę, szybko zmarł, a jego szczątki złożono obok grobu jego pobratymcy na cmentarzu St Olave's. To krótkie życie nie zasłużyło na wpis do księgi parafialnej.

Jak wspomniałem, rekonstrukcja historyczna dokonana przez angielską badaczkę z konieczności bazuje na źródłach wytworzonych przez Europejczyków. Wyjątków jest, niestety, niewiele. Jeden z nich to *Cantares Mexicanos*, XVI-wieczny zbiór rękopisów w języku nahuatl. Zawierają one nie tylko informacje o tradycyjnym światopoglądzie, ale również wspomnienia z podróży za ocean (a także opis spotkania Montezumy z Cortésem). Zachowały się też reakcje młodego mężczyzny ze społeczności Wyandotów, który w 1610 r. trafił do Francji i był zszokowany tym, że niektórzy ludzie są zmuszeni, by błagać o jedzenie, oraz skalą przemocy dokonywanej w imię sprawiedliwości. Co ciekawe, bardzo podobne treści można znaleźć w napisanej dużo później, gdyż w połowie XIX w., broszurze autorstwa Maungwudausa, wodza Mississauga Chippewa. Tego uważnego obserwatora uderzył kontrast między zasobnością elit a ubóstwem niższych warstw społeczeństwa. Londyn, jakkolwiek „jest wspaniałym miastem”, to żyjący w nim „ludzie są jak moskity w Ameryce walczące o przeżycie”. Notował ponadto: „angielskie kobiety nie mogą chodzić same, zawsze musi towarzyszyć im mężczyzna [...]. Gdy herbata jest gotowa, panie siadają do stołu, jak gdyby były chore” (s. 216). We Francji z kolei „mężczyźni nigdy nie gołą twarzą, co powoduje, że wyglądają, jakby nie mieli ust” (s. 216).

Książka składająca się z sześciu rozdziałów wzbogacona została przez 25 ilustracji, które udanie korespondują z tekstem. Autorka *On Savage Shores* doskonale dobrała opisywane przypadki, a także zaprezentowała je w sposób klarowny i z koniecznym współczuciem. Nie zawsze jest jednak precyzyjna. Oczywiście, szacunki dotyczące liczby tubylczych Amerykanów w Europie siłą rzeczy muszą być jedynie przybliżone; Pennock czasem jednak pisze o „tyśiącach”, a gdzie indziej o „odizolowanych emisariuszach”. Retoryka najwyraźniej okazuje się tutaj silniejsza niż historyczna adekwatność. Jakkolwiek całość zaopatrzona została w krótki glosariusz wyjaśniający pojawiające się w tekście główne terminy (np. Arawak, Hispaniola, nahuatl, Kalinago), to nie udało się uniknąć powierzchownego potraktowania opisywanych kultur. Nie dowiadujemy się choćby, kim byli w swoich społecznościach często przywoływani „kacykowie” albo „wodzowie”. Podobnie hasłowo przedstawiono, jakże istotne dla zrozumienia tubylczej wizji świata, elementy duchowości i religii.

Nie mam wątpliwości, że projekt stojący za *On Savage Shores* jest bardzo istotny, że może on zmienić nasze myślenie o istocie i formie kontaktów Europy z Ameryką w XV, XVI i XVII w. Z uwagi na podkreślone już wyżej ograniczenia źródłowe trudno jednak zakładać, że będzie to przełom na skalę koncepcji „Czarnego Atlantyku” Paula Gilroya (1995). Przypomnę, że amerykański badacz kultury nazwał w ten sposób przednowoczesną hybrydową przestrzeń powstałą za sprawą transatlantyckiego handlu niewolnikami. Siła pracy Pennock nie jest tak wielka – co nie znaczy, że nie rzuca ona nowego światła na historię, wrażliwość i wzajemne kontakty między kontynentami rozdzielonymi oceanem. Odsłaniając w mikrohistorycznych ujęciach obecność tubylczej Ameryki w Europie, upomina się ona o pamięć i uznanie dla tych, którzy dotąd byli najczęściej pomijani.

Moralne zaangażowanie autorki – z zasady godne szacunku – w pewnych momentach skutkuje brakiem precyzji i wprowadza czytelnika w konfuzję. W zakończeniu Pennock przekonuje: „Przy kościołach i na cmentarzach, na polach, bezdrożach i w katakumbach ich nieoznaczone szczątki spoczywają wśród pomieszanych śladów przeszłości; ślady tubylczej obecności – zatarłe, ale nie zapomniane” (s. 241). Trudno jednoznacznie rozsądzić, czy chodzi o historie, które skutecznie zatarto, czy jednak o takie, które zostały zapamiętane... Z zaskoczeniem stwierdzam również, że w książce Pennock zabrakło postaci Squanto. Ten mężczyzna z grupy Patuxet w 1620 r. powitał całkowicie zaskoczonych „pielgrzymów”¹ w kolonii Plymouth (dzisiaj stan Massachusetts). Wróciwszy niedawno z Europy, gdzie odwiedził Hiszpanię i Anglię, posługiwał się dobrą angielszczyzną. Nauczył kolonistów metod uprawy dyni, fasoli oraz kukurydzy, pomógł im też przetrwać ciężką zimę (Clifford 1997: 18–19). „Tubylcy, ludzie definiowani przez miejsce, do którego należą – grupy bez kontaktu

1 Tak zwani pielgrzymi – albo *Pilgrim Fathers*, czyli „ojcowie pielgrzymi” – byli pasażerami statku „Mayflower”, którzy w 1620 r. przybyli do wybrzeży Ameryki Północnej, zwanej Nową Anglią (dzisiaj stan Massachusetts), i założyli pierwszą angielską kolonię na tym kontynencie.

ze światem zewnętrznym – prawdopodobnie nigdy nie istnieli”, przekonywał James Clifford w *Routes. Travel and Translation in the Late Twentieth Century* (Clifford 1997: 24), zrywając z utrwalonym obrazem antropologa-w-ruchu i tu-bylca-w-miejscu. I przy okazji nazwał ten paradoksalny mechanizm „efektem Squanto” (Clifford 1997: 18). Dzięki Pennock „efekt” ten ma więcej twarzy i nowe imiona.

BIBLIOGRAFIA

- Clifford, J. (1997). *Routes. Travel and Translation in the Late Twentieth Century*. Harvard University Press.
Gilroy, P. (1995). *The Black Atlantic. Modernity and Double Consciousness*. Harvard University Press.